

DRUGI
BRZEG

Joanna
AX
DRUGI
BRZEG



[Kup książkę](#)

1.

Warszawa, zima 1919

Skrzypnięcie drzwi wyrwało Wiktorię Niemojską ze snu. Otworzyła oczy i powiodła wzrokiem po pokoju, a potem spojrzała na osłonięte ciężkimi zasłonami okno. Przez wąską szparę dostrzegła smugę szarego nieba. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Zerknęła na stojący na komodzie zegar, ale w półmroku nie była w stanie zobaczyć jego wskazówek. Jednak po chwili dotarł do jej nozdrzy zapach gotowanych ziemniaków, co pozwoliło jej zorientować się, że właśnie nadeszła pora obiadu. Zsunęła z siebie koc i usiadła na łóżku. Nie miała na sobie koszuli nocnej, ale granatową sukienkę z białym kołnierzykiem, którą zwykle nosiła na zajęcia w pensji Stefanii Tołwińskiej, mieszczącej się przy ulicy Świętej Barbary. A zatem znowu zdrzemnęła się w ciągu dnia. Ostatnio zdarzało jej się to dość często, co mocno ją irytowało.

Od kilku tygodni nie uczęszczała na lekcje, bo wraz z narodzinami nowego polskiego państwa zapadła na ciężkie zapalenie płuc, które o mały włos nie zakończyło jej młodego żywota. Był to efekt szalejącej na całym świecie grypy, zwanej hiszpanką, która zbierała śmiertelne żniwo, nie tylko wśród żołnierzy, ale także cywili. Mogła mówić o dużym szczęściu, bo wielu nie wychodziło z tej choroby obronną ręką. Kiedy jednak minęło najgorsze, a lekarze zaprzestali aplikowania jej coraz to paskudniejszych mikstur,

ograniczając się do ziółek, nadszedł czas rekonwalescencji. Choroba pozbawiła ją sił witalnych, co było równie nieprzyjemne, jak smak lekarstw. Ta niemoc, trwająca już czas jakiś, dobijała ją, ponieważ Wiktoria należała do osób, które z trudem potrafiły usiedzieć w miejscu. Nie raz i nie dwa otrzymywała reprimendę, bo potrafiła kręcić się w ławce, jakby ktoś ją szpilkami w siedzenie nakłuwał. To znowu zagadywała koleżankę, namawiając ją na psoty, albo zasypywała nauczycielki gradem bezsensownych pytań, byle tylko rozproszyć nudę. Kiedy więc w ciągu dnia zasypiała, zmęczona jak po pracy w polu, później budziła się rozdrażniona, a do wieczora chodziła osowiała i zła na siebie, że kolejny raz dała się przechytrzyć Morfeuszowi i zmorzyć snem.

Gdy tylko drzwi obok zamknęły się, usłyszała powolne człapanie ojca, urozmaicone rytmicznym stukotem drewnianej laski. Jeszcze rok temu wysłaby na korytarz, by zaoferować mu pomoc, ale teraz wiedziała już, że podobne propozycje bardzo irytowały Ksawerego Niemojskiego, podobnie jak Wiktorię popołudniowe drzemki. „Nie traktuj mnie jak zniedołężniałego starca – syczał wtedy przez zaciśnięte zęby. – Już niedługo będę maszerował po Alejach Ujazdowskich szybciej niż Brońcia po rynku”. Wiktoria czekała więc, aż ojciec dotrze do jadalni i zasiądzie do stołu, by uniknąć niezręczności albo nie narazić się na jego docinki, bo minęło ponad dwa lata od chwili, gdy został ranny, a wciąż nie doszedł do formy. Nie chciał jednak słyszeć o tym, że w podobnym stanie będzie musiał żyć przez resztę swoich dni na ziemskim padole.

– Jak zwykle Wiktorcia pojawia się na końcu – mawiała wówczas matka, Hortensja Niemojska, nalewając parującą zupę.

– Przecież i tak dostaję swoją porcję jako ostatnia – mruzcza Wiktor, nie chcąc zdradzić, że jej drobne spóźnienia nie wynikają z lekceważenia pory obiadowej, ale z sąsiedztwa jej pokoju z gabinetem ojca.

Tego dnia było podobnie. Jeszcze nieco zaspana, Wiktor, wkradła się do pokoju jadalnego, ucałowała w policzek ojca, a potem matkę i usiadła do stołu. Jej bracia dotykali niecierpliwie łyżek, by jak najszybciej zanurzyć je w ciepłej potrawie.

W domu Niemojskich nie jadało się tak dobrze jak przed wielką wojną. Jedzenia nie brakowało jedynie na wsiach, w zamożnych majątkach, ale i tam oszczędzano żywność, choć nie wiadomo, czy bardziej z chęci solidaryzowania się z tymi, co mieli jej mało, czy szykowano się na kolejne dziejowe zawirowania. U nich było podobnie. Objadanie się w sytuacji, gdy niektórzy warszawiacy mdleli z głodu na ulicy, wydawało się haniebne i niepatriotyczne. Powracający z frontów wycieńczeni żołnierze i ograbieni przez zaborców mieszkańcy Warszawy po prostu nie mieli ani gdzie pracować, ani co jeść. Niemojscy jadali skromnie, podobnie jak wielu innych warszawiaków, niezbyt wyszukane i niekoniecznie syte potrawy, ale musiały one znaleźć się na porcelanowych półmiskach albo w bogato zdobionej wazie i być spożywane srebrnymi sztućcami, które to pani domu wniosła w posagu.

Hortensja Niemojska, z domu Krzemieniecka, której rodzina wciąż posiadała majątek w rejonie między Warszawą a Płockiem, wraz z innymi damami kwestowała na rzecz ubogich i udzielała się w miejskich jadalniach dla biedoty, gdy tymczasem we własnym domu ograniczała swoją aktywność do nalewania zupy i szydełkowania. W większości prac wyręczała ją Brońcia, która podążyła z Hortensją

do Warszawy, gdy ta wyszła za mąż i pozostała z nią do tej pory. A było to ponad ćwierć wieku temu. Mimo słusznych lat, Brońcia uwijała się niczym pszczołka robotnica, nie skarżąc się nigdy ani na nadmiar obowiązków, ani też na swoje zdrowie. Być może w zaciszu swojej służbówki tudzież na spotkaniach z koleżankami podobnego fachu utyskiwała na swój ciężki los, ale gdy obok byli „państwo”, nie ośmieliła się nigdy na podobne wyznania.

Hortensja złożyła dłonie do modlitwy i powiedziała jedynie:

– Podziękujmy Bogu, że możemy wszyscy razem zasiadać do stołu.

Każdy z domowników wymamrotał coś pod nosem, szybko się przeżegnał i ochoczo zabrał za pałaszowanie zupy, nie zważając, że zbyt łapczywe rzucanie się na jedzenie jest mało eleganckie. Wiktoria od czasu choroby nie miała apetytu i najchętniej w ogóle by nie jadła, jednak zatroskany wzrok matki i ostry ojca sprawiły, że bez słowa pochylała się nad talerzem i sęczyła cienką zupę, od czasu do czasu wsuwając do ust niewielki kawałek ziemniaka.

Ojciec Wiktorii i jej starszy brat, Fryderyk, legionieści Piłsudskiego, siedzieli wyprostowani i dumni, młodszy zaś, Gustaw, nazywany pieścizotliwie Guciem, kopał Wiktorię pod stołem i razem chichotali z poważnych min pozostałych domowników. Fryderyk po odzyskaniu niepodległości wciąż pozostawał żołnierzem, jednak trafił do Oddziału VI Informacyjnego przy Sztabie Generalnym. Ksawery zaś dochodził do zdrowia po ranach odniesionych na polu bitewnym. Może dlatego stary Niemojski był nieco zgorzkniały i męczący dla otoczenia, bowiem beczynność nie leżała w jego naturze.

Gucio nie tak dawno skończył lat dziewiętnaście i cieszył się, że ominęła go wojenna zawierucha. Uczęszczał na

wydział medyczny warszawskiego uniwersytetu i korzystał ze wszystkich uroków studenckiego życia i odzyskanej niedawno niepodległości. Nie był może przesadnym hulaką, bo rodzice szczydzili pieniędzy na podobne zbytki, ale często wychodził z domu na rozmaite spotkania towarzyskie, informując z powagą, że oto idzie do prosektorium pastwić się nad martwym ciałem jakiegoś nieszczęśnika. Na te słowa matka wzdrygała się, ojciec jedynie kiwał głową, a Wiktoria zatykała dłonią usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Wiedziała bowiem, że jej brat w istocie szedł pastwić się nad ciałami, ale nie trupów, tylko frywolnych fordanserek i młodych, ale chętnych baletniczek.

– Od jutra wracam do pracy w sztabie – oznajmił nagle ojciec.

– Jakże to, Ksawerku? – Matka uniosła brwi. – Przecież ty ledwie nogami przebierasz.

Ojciec niemal od razu spurpurowiał na twarzy i syknął z wściekłości.

– Mózgu mi nie uszkodzili, tylko nogę. Co prawda, konia jeszcze dosiadać nie potrafię czy dziarsko posługiwać się bagnetem, ale mogę służyć młodej ojczyźnie swoim doświadczeniem, energią i inteligencją. Chyba że uważasz, iż poszkodowany na wojnie oficer nie jest godzien, by wspierać marszałka i jego politykę wojskową. Czasy mamy niepokojne, nie wiadomo, co się wydarzy.

– Nie to miałam na myśli, Ksawerku. Przepraszam – mruknęła zmieszana matka.

Ksawery Niemojski do wszystkich mówił ostro i kategorycznie, również do swojej małżonki, która, słysząc podobny ton, od razu zaprzestawała dyskusji.

– To wspaniała wiadomość, ojcie – powiedział Fryderyk, chcąc złagodzić odrobinę wybuch ojca.

Wiktoria niekiedy żałowała, że Fryderyk jest jej bratem, bowiem nie знаła bardziej przystojnego mężczyzny od niego. Nie tylko ona zresztą tak uważała, bo lista panien chcących wyjść za niego za mąż była długa i nader interesująca. Fryderyk jednak ociągał się z ożenkiem, ponieważ skupiał się na wojaczce, awansach i karierze. Niebawem miał opuścić Warszawę, bo wysyłano go na trzymiesięczną misję do Lwowa, której cel owiany był tajemnicą. Tymczasem zamiast cieszyć się, że jeszcze jest w Warszawie i oddawać rozrywkom, wciąż rozprawiał o polityce.

Ksawery Niemojski chrząknął i powiedział:

– Po prostu nasza młoda ojczyzna mnie potrzebuje. Tymczasem na wschodzie musimy wydierać nasze ziemie po kawałku, bo jak tylko z Ober-Ostu wyjdzie trochę Niemców, zaraz pojawiają się bolszewicy i wprowadzają swoje porządki. A to przecież jest nasze, a nie rosyjskie czy niemieckie. Wszędzie mamy wrogów, bo Niemcy kombinują coś z Rosją, a w najlepszym razie zubożeni polityków Zachodu, którzy uważają, że już nic nam nie grozi.

– Zachód wspiera białych, więc najpewniej nie bardzo im się podoba sytuacja w Rosji, zatem nie ignorują zagrożenia ze strony bolszewików. A może po prostu nie wierzą, że Polska długo utrzyma niepodległość. Właściwie nie ma się im co dziwić, w końcu przez tyle lat siedzieliśmy pod cudzym butem. Na północy zaś, gdzie pojawiła się polska administracja, ludzie wciąż się buntują, a niektórzy nawet gotowi są podporządkować się władzy rosyjskiej albo niemieckiej. To głównie wina Żydów, bo ci lgną do bolszewików i wciąż sabotują polską władzę – odparł Fryderyk.

– Ciekawe, co państwa zachodnie zrobią, gdy bolszewicy podejną pod Berlin. Niemcy są osłabione, biedne i ciągle wybuchają tam jakieś proletariackie zamieszki. Właściwie